Rok 1938 27 lutego Nr 9

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ



Obraz Józefa Brandta.

Wyjazd króla Sobieskiego kuligiem z Wilanowa.

Obrazek z Polesia

(Dokończenie)

Domy stoją na fundamentach z wysokich palów, niby obronne zameczki naszych praojców. Przed jedną z takich chat, większą od innych, stoi kilkanaście sań białych od szronu. Po chwili z chaty wypada gromada dzieci, z krzykiem, hałasem zapełnia sanie — i odjeżdża. To młodzież szkolna z dalszych i bliższych stron, drogę swą w zimie do szkoły i z powrotem odbywać musi saniami po lodzie, który ściął wody bagienne w grubą powłokę. Latem odbywa się to łodziami. Po odjeździe uczniaków, cisza zalega dokoła, nauczyciel pozostaje samotny w pośród łąk zamarzniętych, wśród pustki, której nic nie urozmaica, nie rozwesela. Zdala tylko tu i ówdzie błyśnie bielona kopułka cerkwi, których jest tam wiele.

Chaty budowane są razem z oborami. Środkiem wioski idzie wysypana droga, a po jej bokach kawałki drewnianych niby chodników. Mieszkańcy tych wiosek, Poleszucy, chodzą — jak wiadomo — w łapciach. Z czasów wojny pozostała jeszcze droga z okrąglaków, zrobiona na rozkaz Niemców, którym nie mogła wystarczyć komunikacja łódkami po bagniskach latem a porą zimową po lodzie. Do dziś jeszcze pamiętają Poleszucy twardą, rękę niemieckiego najeźdźcy. Moskale w ciągu półwiekowego swego panowania nie zatroszczyli się nigdy, choćby tylko dla własnej korzyści, jak Niemcy, by w najmniejszej bodaj mierze kraj ten ucywilizować. Dopiero od czasów polskich zaczyna się tu zmieniać i światło nigdzie może indziej nie robi takich postępów, jak właśnie na Polesiu, zwłaszcza w dziedzinie szkolnictwa i gospodarstwa rolnego.

Na razie bardzo jednostajnie płynie życie na Polesiu. W długie wieczory zbierają się wszyscy w chatach i przy rozpalonym piecu, na opowieściach przy kołowrotku oraz na sporządzaniu łapci mijają wolne godziny. Kobiety wyrabiają własnoręcznie piękne, wzorzyste ręczniki, które w ogóle na Polesiu odgrywają ważną rolę. Konieczne są np. przy wydawaniu córki za mąż na wiano, potrzebne są w cerkwiach podczas nabożeństwa, a wreszcie stanowią nieodzowny dodatek w razie śmierci. Zawiązuje się je mianowicie na krzyżach mogilnych, gdzie nocą, zwłaszcza przy wietrze, łopocą dziwnie, jakby jakie uwięzione białe skrzydła. A cmentarzyki własne, ubożuchne, przeważnie nieogrodzone, ma każda wioska.

Smutne zatem jest Polesie i tylko lato robi z niego krainę pełną swoistego piękna, którym najbardziej zachwycają się malarze, przenosząc uroki jego jezior zadumanych, jego samotnych drzew, farbami na płótno czy papier. Nadejdzie jednak czas, że zamieni się ono w krainę radości i bogactwa, a uczynią to pracowite ręce polskie.

Tymczasem prawdziwym rajem jest Polesie dla myśliwych. Bezbrzeżne jego rozlewiska wodne stanowią bowiem jakby jeden olbrzymi „matecznik“, a więc wspólne gniazdo rodzinne dla najwspanialszej zwierzyny łownej, jak rysi, wilków, dzików i niedźwiedzi. Wszak lasy ciągną się tam prawie nieprzerwanie, gdy role spotyka się tylko w postaci niewielkich polan wśród puszczy na suchszych i rodzajniejszych obszarach.

To też w zimie, kiedy bagniska zamarzną i las połączy się z lasem, hulają sobie swobodnie po całej przestrzeni stada wilków, ostrożne rysie wychodzą na łowy, dziki opuszczają swoje barłogi, ruszają się z mateczników misie kudłate. Poza tym w obfitości kryją się tam łosie i sarny, a już ptactwa błotnego, głuszców i cietrzewi są ilości nieprzeliczone.

Polesie szczególnie dobrze odpowiada właśnie łosiowi, który prowadzi życie poprostu tajemnicze, wśród moczarów leśnych, w okolicach, gdzie poza myśliwym i leśnikiem, nie dociera stopa ludzka. Tęskni on za spokojem, za pustką i ciszą; nie boi się żadnego drapieżnika, nawet stado wilków dla do-

rosłego, zdrowego łosia nie jest straszne. Zato wrogami jego są kłusownicy, dla których nigdy nie za dużo czasu na czatowanie, kiedy ów wspaniały zwierz się pojawi, by mu posłać kulę śmiercionośną.

Wrogiem też i może zagubą stanie się dla łosia ostateczne kiedyś osuszenie Polesia, zwierz ten bowiem na suchych łąkach żyć nie umie, przywykły do biegania po uginającym mu się pod nogami kobiercu mchów bagiennych. Choć z pozoru ciężki, przebiega je lekko wszerz i wzdłuż, nawet tam, gdzie człowiek przedostać się nie może.

Dlatego, chcąc zachować w Polsce to wspaniałe zwierzę od wymarcia, już dziś domagają się przyrodnicy pozostawienia na Polesiu pewnych ostoi bagnistych łosia w takim stanie, w jakim są obecnie, by nie doszło kiedyś do zaniku tego zwierza, jak to było w puszczy Białowieskiej z żubrami. Już dziś łoś należy do rzadkości. Żyje jeszcze tylko w północnej części Rosji europejskiej i w krajach skandynawskich, oraz w Polsce, właśnie na Polesiu, zwanym krainą „zapomnianą przez Boga i ludzi“. Jest go tam dwieście kilkadziesiąt sztuk, gdy w całym kraju liczą go na 626; to też mało łosi może padać ofiarą myśliwych na wielkich polowaniach, jakie się u nas urządza parę razy do roku.

Największy jednak wzgląd na zachowanie gatunków pewnych zwierząt nie może stanąć na przeszkodzie tak ważnej sprawie, jaką jest zamienienie okolic niezdrowych i gospodarczo nieużytecznych w dzielnicę zdrowia i korzyści dla całego państwa.

Kulig

Jedną z najmilszych zabaw zapustnych w dawnej Polsce był kulig. Polegał on na jeździe saniami od jednego dworu do drugiego, skąd po krótkiej zabawie i tańcach zabierano młodzież i jechano dalej do innego domu.

Obraz, jaki zamieszczamy, przedstawia wyjazd takiego kuligu z Wilanowa, istniejącego do dziś dnia przepięknego pałacyku pod Warszawą. Była to ulubiona letnia siedziba króla bohatera Jana Sobieskiego. On to właśnie z królową Marysieńką — jak widzimy na obrazie — wyjeżdża w zapustny wieczór zimowy saniami o wspaniałym zaprzęgu, pobrzękującym dzwoneczkami, a oświetlają mu drogę pochodniami dworskie hajduki i wilanowscy chłopi. Świetny ten obraz malował jeden z najznakomitszych polskich malarzy Józef Brandt w Warszawie, gdzie też jest przechowywany w pałacu sztuki w tej samej sali, w której wisi największy obraz Jana Matejki „Grunwald“.

Co to jest?

(Odpowiedź Krzysi na zagadkę obrazkową w nrze 7).

Klin mi w głowę wbił „Dzwoneczek“
swym pytaniem „co to jest?“.
Wszak nie żaden to człowieczek,
i nie wydra, ani pies.



Myślę, myślę w dzień i w nocy
nad tym ciągle, co też to?,
bo użyczyć swej pomocy
nie wiem, czy mi zechce kto.

Raz już pewnam, że to żaba,
lecz nie jej to przecież krok,
podobniejsza już do kraba,
zresztą, któż wie, co za smok.

Za nim, zda się morza fale,
a więc wodny jest to zwierz;
żyje w głębiach, jak korale,
zresztą, co tam o nim wiesz.

Pięknym nie jest — każdy przyzna:
gęba wstrętna, dziwny wzrok,
ale niech mi raz kto wyzna,
co też to za cudak-smok.

Ach, myśl naraz mi zabłysła:
Żółw to tylko może być!
Tajemnica wreszcie prysła —
brawo Krzysi trzeba bić.

Patrol Lwów

Powieść harcerska. Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

Przed chwilą Barski dla zorientowania się, gdzie też on, pobłądziwszy, znalazł się w nieznanym lesie, trzymał poziomo zegarek i kierował wskazówką godzinową ku słońcu tak, by dokładnie swój własny cień pokryła, bo wtedy linia, przez środek tarczy zegarka przeprowadzona, w połowie między małą wskazówką a godziną XII, pokazałaby mu kierunek „północ—południe". Lecz słońce spłatało figla harcerzowi, schowawszy się za tak spory obłok, że byłoby szkoda czasu wyczekiwać przez kilka minut jego oswobodzenia się z pod chmury. Wyjął tedy kompas, położył go na mapie tak, by linia N—S, wyrysowana na dnie pudełka, była równoległa do krawędzi. Następnie tak znowu obracał mapą z pudełkiem — aż czarny koniec igły padł na N kompasu, poczem skręcił mapę nieco na prawo, t. j. na wschód, by igła odchyliła się na lewo od N o kąt odpowiadający zboczeniu magnetycznemu.

— Nareszcie, mówiąc językiem geografów, mapa jest dokładnie „zorientowana" — szepnął do siebie z zadowoleniem, zabierając się z kolei do oznaczenia swego stanowiska na mapie.

Trwało to dobrą chwilę, ponieważ Bolek nigdzie nie miał w pobliżu przedmiotów wybitnych, które i na jego mapie oznaczone, ułatwić by mogły orientację. Co sobie wybrał do sprawdzenia nie odpowiadało przy porównaniu znaków na mapie. Już myślał, że mu wypadnie uczynić tak, jak robią skauci, pobłądziwszy w terenie leśnym skutkiem skręcenia na drogę nieoznaczoną na mapie, mianowicie wrócić tędy, którędy się przybyło — aż do miejsca, gdzie zorientowanie się nie przedstawi już trudności. Ta myśl bardzo mu się nie podobała, — i wbrew zwyczajom harcerskim, zamiast gwizdać sobie wesoło, trochę się zachmurzył. Ale wtem zaśmiał się i zawołał półgłosem:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Boks z niedźwiedziem

„Walka na pięści" czyli t. zw. boks a po polsku pięściarstwo, odbywa się zawsze — jak wiadomo — tylko między ludźmi. Jest to sport znany powszechnie, a najlepsi bokserzy cieszą się zwykle sławą światową, większą częstokroć od mężów, którzy się zasłużyli ludzkości prawdziwie wielkimi i godnymi czynami. Zapaśnicy walczą z sobą po dwóch w specjalnych rękawicach bokserskich ze skóry, wypchanych włosiem dla uniknięcia uszkodzeń przy zadawaniu przeciwnikowi pchnięć i uderzeń.

Niedawno odbył się taki bokserski pojedynek w jednym z miast kanadyjskich, a zapaśnikami w tej walce był młody Polak i... niedźwiedź. Syn wychodźców z Polski, Aleksander Firczuk, pracował jako drwal w lasach Kanady. Noc spędzał w szałasie, skąd rankiem wracał do roboty. Pewnego razu zbudził go niespodziewany ruch w szałasie: okazało się, że wszedł do jego schroniska niedźwiedź, szukający czegoś do jedzenia. Gdy chłopak próbował go odpędzić, zwierzę zaatakowało go groźnie. Nie mając niczego pod ręką do obrony, ani nie mogąc uciec z szałasu, gdyż niedźwiedź zatarasował wejście swoim cielskiem, młodzieniec rozpoczął z nim walkę bokserską, której się uczył niedawno. Widocznie lepiej umiał tę sztukę niż amerykański 150-funtowy, Miś gdyż nie tylko „położył go na łopatki" — jak to się mówi językiem pięściarzy — ale nawet potrafił go związać i uczynić sobie uległym. Trzymał go jakiś czas u siebie, z czem zwierzę zaczęło się zupełnie oswajać, lecz ostatecznie musiał go się pozbyć, ponieważ „bestia za dużo jadła". Poprowadził więc kudłacza do miasta Port Arthura i tam go sprzedał.